Świat powieściowy.

Nr. 144 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Rajmund nie zsiadł z konia, a pani Hertenstein nie ruszała się z miejsca, na którem Paweł ją zostawił. Wreszcie skinęła głową tak samo zimno i sztywnie jak za pierwszym razem i ku ścieżce w dół zwróciła.

— Anno! — szepnął Rajmund.

Zadrżała, mimo, iż głos był tak stłumiony, że zaledwie mógł dźwięk o jej słuch uderzyć; stanęła jak wryta, odrzuciła jednak tonem lodowatym:

— Panie baronie?...

— Czemuż nie dodasz od razu: „Ordynacie na Werdenfelsie!“ — uśmiechnął się gorzko. — Po raz pierwszy od lat wielu, wielu! traf nas razem sprowadził Anno!... nie spodziewałem się przecie, żebyś była w stanie tak... przejść koło mnie!

Anna dotąd się nie ruszyła. Spuściwszy w dół oczy, rzekła cicho:

— Nie przedłużajmy zatem chwili dla nas obojga równie drażliwej. Żegnam pana!

— Skoro chcesz odejść, nie obdarowawszy mnie ani jednem słówkiem serdeczniejszem... nie ośmieliłbym się zatrzymywać łaskawej pani!...

Ton mowy był spokojny, a jednak w słowach brzmiał gorzki wyrzut. Młoda kobieta nic nie odpowiedziała, ale z miejsca się nie ruszyła. Rajmund z siodła zeskoczył i ku niej postąpił, to zbliżenie atoli wywołało widocznie i podsyciło od dawna zakorzenioną nieprzyjaźń. Anna wyprostowała się nagle, a postać jej cała zdawała się oddychać jakby grozą i wstrętem nieprzezwyciężonym. Przemówiła szybko:

— Istotnie traf szczególny sprowadził mnie w tę stronę. Tam na szczycie góry dogorywa Mattowa, która dziewczyną służyła w Rosenberg i gorąco błagała, żeby mogła mnie jeszcze widzieć przed śmiercią. To mnie skłoniło wybrać się tą drogą wraz z Jerzym, inaczej nigdybym...

— Nie byłabyś się nigdy do Felseneck zbliżyła! — wpadł jej w słowo Rajmund. — O tem nie potrzebujesz mnie zapewniać. Obojeśmy temu nic nie winni. Tyś o milę całą od zamku oddalona, a ja od kilku miesięcy za próg Felseneck wcale się nie ruszyłem.

Anna wzrok na niego podniosła, po raz pierwszy od chwili gdy się spotkali tak niespodziewanie. Inny obraz musiała unieść przed laty w pamięci, niż to zbolałe oblicze, które teraz miała przed oczami, bo coś, niby łza zakręciła się w jej ciemnych, głębokich źrenicach, głos jej zmiękł i rysy złagodniały, gdy spytała wahająco:

— Czy... byłeś chory?

— Nie! Myślisz zapewne, iż przez tych lat sześć zmieniłem się niesłychanie? Muszę ci tem samem odpowiedzieć. I ja nie widzę już przed sobą owej nadobnej Anny Wilmut, pączka zaledwie na pół rozkwitłego. Na tobie znać atoli, jak inaczej ów czas spędziłaś, snując roskosznie dzień za dniem, niby jedną nić złotą... Nie dziwię się bynajmniej tryumfom, które pani prezydentowa Hertenstein święciła w stolicy... nie dziwię się, iż wszyscy bez wyjątku uwielbiali ją, hołdy swoje ścieląc jej pod stopy!

Miał słuszność zupełną. Piękność drzemiąca w pączku u Anny Wilmut, rozwinęła się obecnie w kwiat pełny, czarujący. Nawet ubior nader skromny nie mógł jej zagłuszyć, występywała z czarnych kirów w całym blasku olśniewającym, niby kwiat śnieżny *Nenufaru*, z pomiędzy brudnej pleśni na wód przestworzu. Piękność ta majestatyczna, jak wiosna świeża i urocza, odbijała jaskrawo od tej postaci smętnej, ponurej, ogołoconej z wszelkiej krasy młodocianej, od tego człowieka złamanego i do życia zniechęconego. Jakby czuła się dotkniętą wymówką w tych słowach ukrytą, szepnęła w rodzaju tłumaczenia:

— Prezydent wprowadził mnie w sferę, do której sam należał. Było to jego życzeniem... rozkazem niemal, żebym występywała na wielkim świecie w stolicy. Spełniałam więc jego wolę, nie powodując się w tem bynajmniej własnemi skłonnościami.

— Prezydent!... jak to brzmi lodowato! A przecież był on twoim mężem, któremuś przed ołtarzem na miłość przysięgała! Prawda, że to było li dziełem Wilmuta! Nie dość mu było oderwać cię przemocą od serca mojego, chciał jeszcze przegrodzić nas zaporą nie dającą się usunąć, a do tego każdy środek wydawał mu się godziwym! Mnie bo zawsze nienawidził, a o twoje szczęście nie wiele się pytał, wtrącając starcowi w ramiona.

Anna nie chciała się przyznać przed młodszą sio-

strą, iż wpływ obcy zmusił ją moralnie do małżeństwa. Teraz jednak nie śmiała temu wręcz zaprzeczyć, pomijając więc ten punkt milczeniem, cicho odrzekła:

— Mylisz się... z prezydentem nie czułam się bynajmniej nieszczęśliwą, obecnie zaś...

— Owdowiałaś?

— Tak jest!

Słowa ostatnie wymówiła znowu dziwnie twardo i ostro. Rajmund tem dotknięty, zmienił również ton, w którym dotąd przemawiał, ton cichy i rzewny, odzywając się cierpko i sarkastycznie:

— Oh! nie potrzebujesz przypominać mi tak dobitnie przepaści, która nas rozdziela. Pamiętam o niej aż nadto dobrze! Są jednak inni, którzy żywią w sercu błogie nadzieje na przyszłość, odkąd na nowo wolną zostałaś. Może byś nie odtrąciła od siebie przyszłego pana na Werdenfelsie, gdyby złożył ci w ofierze serce wraz z ręką i nazwiskiem? Jego ręka jest przecież czystą i bez zmazy, a mnie — usta zadrgały mu nerwowo — niech będzie przynajmniej wolno wystąpić w roli swata i przemówić w imieniu mojego bratanka.

W rysach młodej kobiety odbiło się zdziwienie nader nieprzyjemne.

— Twojego bratanka? Czy myślisz o młodym baronie?

— Naturalnie! poznał cię w Wenecji!.. Czyżeś istotnie jego uwielbienia zupełnie nie zauważyła?

— Może... nie brałam tego jednak na serjo. Widziałam w tem kaprys przelotny chłopca młodego i nic nadto.

— Źleś go osądziła. Paweł tak się poważnie na tę miłość zapatruje, iż nie zawahał się ani chwili, gdym mu kazał wybierać między tobą a spadkiem po mnie. Jestem pewny, że wkrótce oświadczy się o twoją rękę oficjalnie.

— Tego się nie spodziewałam! — Anna szepnęła pomięszana. — Myślałam, iż oszczędzi mnie i... sobie tej przykrości.

— Nie kochasz go zatem?

— Ja!... Pawła Werdenfels?!

Litościwe wzruszenie ramionami i ton lekceważący odpowiedzi, były dla biednego Pawła wyrokiem nieodwołalnym! Widocznem było, iż nie wzniecił w sercu młodej kobiety ani iskierki żywszej sympatji. I Rajmund to zauważył, oddychając całą piersią, jakby mu się lżej na sercu zrobiło.

— Przebacz mi w takim razie niewczesne pytanie — rzekł dziwnie miękko i rzewnie — i... moją omyłkę!

Emir zaczął się bardzo niepokoić. Z temperamentem tak ognistym, nie mógł długo wytrzymać na jednem miejscu, dawał też do poznania forkaniem i grzebaniem w śniegu, iż jest wielce niezadowolony. Rajmund owinąwszy cugle około ręki, drugą pogłaskał go pieszczotliwie po małym łebku i ślicznej szyjce, w łuk wygiętej. Koń uspokoił się natychmiast pod dłonią i na głos pana swojego, do którego zdawał się być bardzo przywiązanym, następnie wpatrzył się swojemi mądremi oczami w młodą kobietę, stojącą nieruchomo pod sosną, z wzrokiem w jakąś dal mglistą wlepionym.

„Dziewica z lodu“ według podań legendowych zstąpiła w dolinę, przycisnąwszy całą naturę do swojego zimnego łona. Wokoło panowała cisza snu, cisza śmierci nieledwie. Drzewa stały nieruchomo, niby olbrzymie żyrandole ze srebra, kryształami obwieszone; nawet młynówka, zwykle tak szumnie płynąca, nie dawała znaku życia, uśpiona i skuta objęciem „Dziewicy z lodu.“ Wszędzie, gdzie okiem rzucić, błyszczały w słońcu drzew wierzchołki, gór szczyty, ściany skaliste, odbijając od tła blado niebieskiego niebios, jak istny pałac kryształowy królewny zaczarowanej.

Po nad całym krajobrazem panowała „Dziewica z lodu“ tak blisko, iż zdawało się, jakby jednym skokiem można się dostać do niej, a czoło jej strzelające dumnie w błękit nieba, rumieniło się w blaskach słonecznych, niby piękna oblubienica, pod wrażeniem pierwszego pocałunku ukochanego.

I to słońce jednak, i natura bajecznie piękna w swojej szacie ubrylantowanej, i głuche milczenie, wszystko śmierć przypominało, śmierć nieubłaganą, usypiającą na wieki wszelki ruch, władzę i czucie, która atoli jest kresem ciężkiej częstokroć walki z życiem.

Nagle wiatr powiał od gór i przyniósł na skrzydłach potężnych niby echo słabe, oddalone, jakiegoś szmeru tajemniczego, jakiegoś szumu i łoskotu, który zdawał się z pod ziemi wydobywać. Był to potok, ta główna, życiodajna gór arterja, który jeden oparł się zwycięzko ramieniu żelaznemu „Dziewicy z lodu“ i pędem niewstrzymanym sadził dalej po lodowcach, spadając w otchłanie, gdzie dotąd stopa żyjącej istoty nie postała, dokąd nawet nie doszła moc ubezwładniająca tajemniczej czarodziejki. Nadaremnie „Dziewica z lodu“ natychmiast mrozem ścinała wodne kaskady, potok wyrywał się z jej objęć, dążąc ku światłu. W czystych jego nurtach odbijały się słońca promienie, on jeden był życiem, on był sercem gór, które dotąd bić nie przestało!

Szum głuchy potoku, słabo tylko dochodził w miejscu, gdzie stało tych dwoje, którzy teraz zdawali się obcy zupełnie, a jednak nie tak dawno byli sobie nawzajem szczęściem jedynem, światem całym! W tem dalekiem echu było coś tajemniczego, jakby wiosny przypomnienie, która i dla ich serc była zakwitła, a dziś... wszystko zmrożone, zamarłe... i nigdy już, nigdy do życia wraz z naturą nie ma powrócić!

Tak samo cicho i tajemniczo morze szumiało, gdy spotkali się po raz pierwszy w życiu. Traf ich na *Lido* razem sprowadził i razem płynęli następnie ku brzegom Wenecji. Morze i cała Wenecja, płonęła purpurą słońca zachodzącego, gdy mknęli w gondoli po *Canale grande*, a wieże kościołów i pałace mar-

murowe wyglądały majestatycznie, niby aureolą świa tła wiekuistego otoczone.

Młody człowiek jednakże nie patrzał na te wszystkie cuda, on wzrokiem pochłaniał piękną rodaczkę, siedzącą obok damy poważnej, i nie mógł oczu oderwać od jej oblicza czarownego.

Przyszła wreszcie i owa noc miesięczna, kiedy razem unosił ich parowiec ku brzegom ojczystym, a Mórz Królowa znikała powoli, niby ułudna *fata morgana*, aż wreszcie jak gwiazda z błękitu spadająca, w falach utonęła, a wraz z nią i szczęście obojga. Minęła zima, natura ocknęła się ze snu długiego, a w piękny jasny dzień majowy, gdy wszystko w koło nich oddychało wonią, łąki szmaragdowe okryły się kwiatów kobiercem, a słowik zawodził pieśń miłośną i tych dwoje zrozumiało się wreszcie. Spotkawszy się przypadkiem na przechadzce w górach, wypowiedziały usta, co już od dawna serce im rozpierało. Słowa płynęły z ust młodego człowieka gorąco i namiętnie, jak ów potok górski, nieznający zapory, niczem niewstrzymany, a wyraz smętnej powagi zniknął z twarzyczki prześlicznej biednej sieroty, uśmiech roskoszny pojawił się na ustach koralowych, i szczęśliwa, zarumieniona, ukryła główkę na piersiach ukochanego. Natura majem kwitnąca, była świadkiem ich przysiąg uroczystych, iż żadna burza w życiu rozłączyć ich nie potrafi, że odtąd należą wyłącznie jedno do drugiego.

I przyszła burza w niwecz obracając świętość przysięgi! Piorun w nich uderzył, rozerwał gwałtownie węzły ich łączące, pogruchotał nadzieje ułudne. Jego burza zapędziła w ponure mury Felseneck'u, gdzie nie było ani promienia szczęścia i miłości, gdzie nawet światła dziennego unikał, ją wtrąciła w wir świetny na pozór życia na wielkim świecie, w którym czuła się może równie samotną jak Rajmund wśród nagich skał zagrzebany. Dziś po latach, znowu stanęli sobie oko w oko, a w około nich natura, pod całunem śniegów i lodowców zaumarła!

Anny wzrok badał znowu niespokojnie bruzdy głębokie na czole i zmarszczki na twarzy barona, jakby chciała odgadnąć, co je tak przedwcześnie wyżłobiło, a to, co w tych rysach śmiertelnie znużonych wyczytała, ścisnęło takim bolem jej serce, iż o wszelkiej przezorności zapominając, szepnęła niemal z dawną czułością:

— Rajmundzie!

Spojrzał na nią, oczy zajaśniały mu na chwilę błyskiem przelotnym, na ustach uśmiech prawie się pojawił... zastygł jednak nader prędko, a twarz przybrała znowu wyraz ponury i jakby w bolu skamieniały. Postąpił jednak ku niej, prowadząc konia za uzdę. *Emir* szedł chętnie, spokojnie, nie okazując bynajmniej zwykłej u niego dzikości, przegiął główkę na bok, ocierając się pieszczotliwie o ramię pana, przyczem zarżał wesoło.

— Twój koń zdaje się być nadzwyczaj do ciebie przywiązany — Anna zauważyła.

— Tak jest, bo też co dzień mojego *Emira* odwiedzam, chociaż rzadko kiedy na nim wyjeżdżam. On jedyny kocha mię jeszcze na świecie.

— I jest, ile się zdaje, jedynie przez ciebie ukochanym! Uciekasz od ludzi, zamykasz się przed nimi, dając im nie dwuznacznie do poznania, że o nich nie dbasz, że nimi pogardzasz!

— Czy myślisz, że mnie miłość ludzka zapędziła w te mury ponure i samotne? — Rajmund spytał z naciskiem. — Możesz dowiedzieć się o tem od twojego kuzyna Jerzego! On wie najlepiej, co mnie od tych tam — wskazał ręką na Werdenfels — oderwało, bo on postarał się o to przed innymi, żeby nas otchłań bezdenna rozdzieliła!

— Wskazał ci przecież Jerzy drogę do zgody prowadzącą, aleś ty nią pójść nie chciał.

— Nie! Wiem com winien przeszłości... Nie ugnę karku przed dumnym pyszałkiem, który radby z nienawiści ku mnie i ku mojemu rodowi, zobaczyć mnie w prochu u nóg swoich!

— Jerzy nie jest próżnym pyszałkiem. Cokolwiek czyni i czego od drugich wymaga, to li z powinności i ze względu na święte kapłana powołanie. To prawda, iż w spełnieniu tej wielkiej misji, potrafi być nieubłaganym...

— Doświadczyłem tego na samym sobie. Wyklął mnie publicznie, w kościele, a wierna jego trzódka idzie ślepo za wskazówką swojego pasterza! Jestem z pod wszelkich praw wyjęty, wywołańcem na mojej własnej ojcowiźnie!

Mówił z goryczą, ale i z niezwykłą energją. Uderzyło to widocznie młodą kobietę, bo wypatrzyła się na niego zdziwiona i wreszcie poważnie odpowiedziała:

— Ktoż tu najwięcej zawinił? Jerzy, czy twój tryb życia dziwaczny? Tysiące bajek obiega w okolicy, stałeś się niemal Mytem legendowym. Budujesz sobie królewską siedzibę wśród skał niedostępnych i zamykasz się w niej, żywcem niemal zagrzebujesz! Wyrzucasz krocie na utrzymanie zamku i ogrodów w Werdenfels, a nigdy tam nie zaglądniesz! Otoczyłeś się murem chińskim, kołem zaczarowanem, po za które nikomu nie wolno przejść bezkarnie, i podsycasz dobrowolnie pogłoski szalone, które lud ciemny i zabobonny o tobie rozpuszcza. Nie pomyślisz o nich, nie rzucisz okiem na tych ludzi, którzy w dobrach twoich żyją i pracują, walcząc z dnia na dzień z nędzą prawie. Czy ty się pytasz o ich głód i niedostatek? Czy cię interesuje ich dola lub nieszczęście? Utonąłeś w chmurach w twojem Felseneck niedostępnem i na tem koniec!

— Nie! — uzupełnił Rajmund tonem głuchym — koniec byłby tam, w przepaści bezdennej, u stóp „Dziewicy z lodu..." Oh! ty się nawet nie domyślasz, jaka to straszna pokusa! jak mnie tam... w dole coś nęci... coś szepce tajemniczo: „Pójdź tu do mnie biedny, znużony wędrowcze, znajdziesz spokój upragniony, po-

grzebiesz wszystko razem, nawet złość ludzką i ludzką nienawiść!“

Przerażenie odmalowało się w rysach młodej kobiety, prędko jednak potrafiła nad niem zapanować i odrzuciła tonem ostrym i surowym:

— Ostatnia to słabych ucieczka!... Mąż prawdziwy walczy z życiem wytrwale i stara się błąd naprawić.

Rajmund nagle się wyprostował. Coś tlić zaczynało w jego przymkniętej źrenicy, niby iskra, mająca wylecieć płomieniem z zimnego popiołu.

— W twoich więc oczach jestem słabym, nikczemnym tchórzem, który przed walką ucieka?

— Jesteś marzycielem, który nie chce patrzyć w blask słoneczny, bo go razi po długiej nocy, bo mu nie daje tonąć spokojnie w zadumie apatycznej i bezcelowej! Zbudź się wreszcie do pracy, do czynu Rajmundzie! Daj pokój marzeniom chorobliwym, które ci ostatek sił zabierają! Nie spodziewałam się nigdy, żeby aż coś takiego mogło zrobić z ciebie rozłączenie ze mną!

— Cofnij twoje słowa Anno! — rzekł głucho i tonem groźnym. — Umiem znieść nienawiść... tyle już tejże miałem dowodów.... pogardy i lekceważenia nie zniosę!

— Więc przekonaj mnie, żeś na to nie zasłużył! — zawołała Anna unosząc się coraz bardziej. — Tak wiele Opatrzność w twoje ręce złożyła; ci wszyscy ludzie mają prawo, żądać w zamian od ciebie, żebyś w czemś przyczynił się do ich dobra, do oświecenia ich umysłów ciemnych i zbłąkanych. Spróbuj tylko, zamieszkaj z nimi, staraj się o zgodę, a otrzymasz takową z pewnością!

— Myślisz? — Rajmund uśmiechnął się z gorżką ironją. — Czyż już nie próbowałem po śmierci ojca mojego? Wiesz jak mi się taka próba z starym Eckfriedem udała? Oto porwał strzelbę ze ściany, gdym wszedł do jego chaty i obiecał jak psa mnie zastrzelić, gdybym kiedy jeszcze próg jego przestąpił! I tak mi szło wszędzie, gdziekolwiek się zwróciłem... Spotykałem się na każdym kroku z nienawiścią, wstrętem i uprzedzeniem nie dającem się niczem usunąć... wszyscy się odemnie odwrócili, wszyscy!... nawet moja narzeczona!

Dumne i gniewne oko młodej kobiety, przykryte rzęs firanką, wpatrzyło się w ziemię, twarz zaś rumieńcem spłonęła... Na ten zarzut ostatni nie znalazła żadnej odpowiedzi.

— Od chwili, w której Wilmut odkrył miłości naszej tajemnicę, zapadł na nią wyrok nieodwołalny! — mówił baron dalej. — Idąc ślepo za jego zdaniem, mnie potępiłaś, wcale nie wysłuchawszy...

— Nie wysłuchawszy? Czyż byłabym uwierzyła czyjemukolwiek świadectwu na świecie, prócz własnym twoim słowom? Sama przecież wezwałam cię na probostwo i tam rozmówiliśmy się po raz ostatni!

— W obecności Wilmuta! Stanął pomiędzy nami, a wzrok jego zimny i przeszywający, nie dopuszczał do jakiegokolwiek porozumienia. Gdybym był mógł jedną przelotną minutę sam na sam z tobą pozostać, byłbym znalazł drogę do serca twojego, mimo wszystkiego co zaszło. Aleś na to przyzwolić nie chciała!

— Bo owe sam na sam, na nic by się nam nie było przydało! Miałam ci zadać jedno pytanie i czekałam na: „nie“ z ust twoich, które jedynie mogło wszystko naprawić. Nie wymówiłeś tego: „nie,“ tylkoś stał milczący, z oczami w dół spuszczonemi. Twoje milczenie jedynie nas rozdzieliło, a nie żaden rozkaz ani wpływ obcy.

— I cóż ci miałem odpowiedzieć? — Rajmund głową potrząsł z goryczą. — Wiedziałem, że wszystko będzie daremnem, jak długo on będzie przy twoim boku, ten wierny następca Torquemadów, który umie tylko wyklinać i potępiać, ale obcem mu słowo miłosierdzia, słowo przebaczenia! Mimo twojego zakazu spróbowałem raz jeszcze zgłosić się do ciebie listownie i tam wiernie ci wszystko opisałem. W trzy dni odpowiedź nadeszła, ale ręką twojego kuzyna skreślona, w tych słowach: „Od wczoraj Anna Wilmut jest narzeczoną prezydenta Hertenstein.“ — Aż do tej chwili stawiałem mężnie czoło wszelkim napaściom, wszelkiej nienawiści!.. Odtąd zaprzestałem walki na zawsze... i zamknąłem się samotny w ponurem Felseneck.

Zapanowało głuche milczenie. Młoda kobieta stała blada niesłychanie, oddychając ciężko, jakby tchu złapać nie mogła.

— Cóż było w tym liście? — szepnęła.

Rajmund wpatrzył się w nią przenikliwie, a oczy mu błysnęły złowrogo.

— Wiesz przecie — odrzekł — chyba... żeś listu nie czytała?

— Nie czytałam!

— Oddano go jednak do twoich rąk własnych. Wiem o tem na pewno!... jakżeś więc mogła listu nie odczytać?

Groźba niemal w tonie surowym zawarta, wywołała całą dumę w Annie, odpowiedziała też równie ostro:

— Byłam już po słowie z prezydentem, los mój był tym czynem rozstrzygnięty... list nieczytany spaliłam!

Rajmund rzucił się jak pod ukąszeniem gadziny, rękę zacisnął kurczowo, a z oczu piorun strzelił. Z piersi rwały mu się słowa namiętne, gwałtowne, pohamował się jednak, stłumił burzę sercem miotającą i rzekł z lodowatą obojętnością:

— Przebacz zatem śmiałość nadto wielką, popełniłem fatalną omyłkę, list adresując...

— Co stało w liście? — Anna powtórzyła niespokojnie i z naciskiem.

— Coś, co byś była najniezawodniej z pogardą również odrzuciła, bo w tem było przyznanie się do winy! — Rajmund wybuchnął oburzony w najwyższym stopniu. — W liście przemawiałem do serca kobiety, która przyrzekła być moją na wieki! Miłość umie

wszystko przebaczyć i byłaby przebaczyła, ale ty, któraś zdolną była ostatnią prośbę moją, ostatnie rozpaczliwe o pomoc wołanie, nieczytane rzucić w płomienie, tyś mnie nigdy nie kochała! Jerzy Wilmut i ty, to jakby dwa posągi, z jednego głazu wykute! Patrzycie z wysokich piedestalów waszej cnoty surowej i niedostępnej, bez cienia miłosierdzia dla biednego zapaleńca, dla marzyciela nieuleczonego! Nie chcecie zrozumieć, co się dzieje w duszy młodej, zwątpiałej przedwcześnie, na której ciężą kamieniem ludzka nienawiść, ludzkie złorzeczenie! Wy nie wiecie czem jest takie życie w ciągłej walce, w ciągłem pasowaniu się z losem przekornym!... Ja tego doświadczyłem i mógłbym coś o tem powiedzieć!... Bądź zdrowa!

Odwrócił się od niej, wskoczył na siodło i puścił cugle koniowi. Uszczęśliwiony z powróconej nareszcie wolności, *Emir* popędził z wichrem w zawody. Po raz drugi przesadził jar olbrzymi i znowu udała się sztuka karkołomna. Jeździec nie słyszał krzyku urwanego, który w ślad za nim wyrwał się z piersi Anny, śmiertelnie tym skokiem strwożonej, nie oglądnął się więcej po za siebie, tylko dalej ku Felseneck galopował.

Została samotna, o sosnę oparta. Usta do krwi niemal zaciśnięte drgały kurczowo, czy z gniewu, czy z bolu, któż to odgadnie? Nad nią wisiały nieruchomo gałęzie śniegiem obciążone, i wszystko w koło było tak samo sztywne, tak samo pod śniegu całunem zaumarłe. Z oddali jednak dolatywało echo tajemnicze, niby jakieś głosy, jakieś dźwięki z głębi ziemi, zwiastujące, iż pod lodu zimną powłoką, wre życie namiętne, gorące!.. Na chwilę ujarzmione i opanowane... na wieki jednak nie zamarło!

IX.

Buchdorf, majątek darowany przez Rajmunda bratankowi, leżał niedaleko od Werdenfels. Nie mógł się równać z tamtą iście królewską siedzibą, miał jednak i ładny dom parterowy, i ogród cienisty, i sady, jednem słowem wszystko, czego tylko może zapragnąć wiejski, majętny obywatel. Dzierżawca aż do wiosny mieszkał z rodziną w pałacyku, nie mogło więc być mowy o przesiedleniu się tamże w zimie, zresztą wypadało Pawłowi uczynić zadość życzeniom stryja i Felseneck tak nagle nie opuszczać. Z powrotem zastał istotnie na biurku w swoim pokoju formalny akt darowizny, który ustanawiał go panem całego Buchdorf z przyległościami.

W chwili obecnej widzimy Pawła w pokoju sypialnym, przed dużem stojącem źwierciadłem, zajętego toaletą, która dzisiaj zdawała się go specjalnie zajmować. Raz po raz to odstępywał, to zbliżał się do źwierciadła, wahając się w wyborze pomiędzy krawatką czarną, a jasno szafirową.

Arnold pomagający mu w tej całej sprawie, zdradzał jeszcze większe poczucie godności. „Bo przecież — mawiał teraz jak indyk nadęty — zostaliśmy dziedzicami klucza całego!“ Dokazał tego, ma się rozumieć, że młody pan wziął go z sobą na oględziny, raczył znaleźć wszystko nader zadawalniającem, i uznał, iż stryjcio, który tak hojnie obdarza, wart jest szacunku najwyższego. Baron Rajmund w ogóle po owej audjencji tak niefortunnie zakończonej, podniósł się o całe niebo w opinji starca. Nie tylko nauczkę daną przyjął w pokorze ducha, poniekąd nawet cieszył się, iż znalazł się ktoś na świecie, który mu bodaj na starość potrafił zaimponować. Odtąd wyrażał się o baronie Rajmundzie z uwielbieniem, i przez myśl mu więcej nie przeszło, jakby w „głowie domu Werdenfelsów“ miało być nie wszystko w porządku. Rajmund dowiódł starcowi namacalnie, że jest przy zmysłach jak najzdrowszych!

— Parę ciemno bronzowych rękawiczek Arnoldzie! — krzyknął Paweł, z czego wynikło ma się rozumieć, iż pojawiły się z komody rękawiczki w najjaśniejszym odcieniu lapis, które Arnold ostentacyjnie położył przed Pawłem na stoliku.

— Weź panicz rękawiczki jasne; stosują się lepiej do pańskiego stroju, i w ogóle, gdy się jedzie z oświadczynami, nikt nie wdziewa ciemnych rękawiczek.

Paweł zwrócił się ku niemu i oczy wytrzeszczył.

— A ty zkąd wiesz o tem? Ani słowem przecież o niczem podobnem z tobą nie mówiłem?!

— Oh! czy to mnie trzeba wszystko kłaść w głowę na łopacie! — wzruszył Arnold ramionami. — Ubiera się panicz, Bogu dziękować, od dwóch godzin, jakby od tej sprawy świat zawisł. Zamówiliśmy powóz galowy, czwórką zaprzężony, a od dni kilku kręcimy się jak na śrubie! Rany Chrystusowe! ślepy domacał by się co się święci! że panicz po uszy zakochany i tym razem myśli na serjo o żeniaczce!

— Tak?... no proszę! Nic o tem nie wiedziałem! — bąknął Paweł niecierpliwie, nie zaprzeczając jednak słowom starca.

— A jam wiedział od pierwszej chwili — Arnold uśmiechnął się znacząco — żeśmy tym razem zaszłapali co się zowie! Skorom się dowiedział, że owa dama z Wenecji, mieszka tu nie daleko, pomyślałem zaraz: „Będziemy mieli weselisko!“ Co daj Boże! amen!

— Doprawdy? Raczysz mi więc udzielić pozwolenia? — Paweł w głos się roześmiał — mimo, iż dotąd o nie prosić zapomniałem? Zaiste! łaska nadzwyczajna!

Arnold potrząsł głową miłosiernie.

— Eh! panicz się tam mnie w niczem nie radzi i o nic nie pyta! ale tym razem przyznać muszę, że guścik mamy co się zowie! Pani Hertenstein jest nie tylko damą piękną i delikatnie edukowaną, ale po nad to wszystko bardzo rozumną i gospodarną, a tego nam co prawda djabelnie potrzeba! Z łaski stryjcia jesteśmy klucza całego dziedzicami, ale czy nam jednocześnie to i owo z głowy wywietrzeje, to wielkie pytanie!

— Arnoldzie! raz na zawsze wypraszam sobie podobnych przemów i kazań, zupełnie niestosownych od sługi do pana! — krzyknął Paweł zniecierpliwiony, przyczem starał się naśladować minę ordynata, wypro-

stował się dumnie, mierząc starego od stóp aż do głowy wzrokiem piorunującym. Próba atoli zupełnie się nie udała.

— Nie przewracał byś tak panicz strasznie oczami! — machnął Arnold ręką lekceważąco — bo tego co stryjcio dalibóg nie potrafisz! Ten gdy spojrzy, to człowiekowi zrobi się od razu i zimno i gorąco, a dusza gdzieś aż w pięty ucieknie! Trzeba jak najprędzej rejterować z najniższym ukłonem! Panicz zaś...

— Nie potrafię tego, tak sądzisz? — Paweł gniewnie zawołał. — Arnoldzie! wszystko ma kres i moja cierpliwość do dna wyczerpana! Na przyszłość będę ściśle przestrzegał należnego mi od ciebie uszanowania, z całą nieubłaganą surowością!... lub też... rozłączymy się na zawsze! Idź sobie! Sam się ubiorę!

Zamiast rozkaz spełnić, Arnold stanął tuż pod nosem swojego panicza, oglądając bacznie strój cały.

— Na co się też paniczowi tak irytować?! — rzekł dobrodusznie. — Krew uderza do głowy, a twarzyczka rumiana zwykle jak jabłuszko nieprzymierzając, sinieje i jakby korą się pokrywa... Jaśnie pani prezydentowej tak by się panicz pewno nie spodobał!... A pocóż znowu ta czarna krawatka?!... przecież oświadczyny to nie pogrzeb! Jasno szafirowa daleko lepiej do twarzy i jaśnie pani to uzna z pewnością, a do tego i krzywo ją panicz zawiązał.

Z krwią najzimniejszą krawatki zamienił, ułożył węzeł artystycznie i wetknął szpilkę od niechcenia, z jednym wielkim brylantem, niby kropla rosy połyskującym. Paweł dawał z sobą wszystko robić, jak dziecko potulne. Myśl, że mógłby się pani Hertenstein niepodobać, napędziła mu strachu nielada, wydając bezwładnego na pastwę Arnoldowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pożyczana mama.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Hrabina Laura atoli przeciw swojemu zwyczajowi, nie dała się tym razem tak łatwo ugłaskać i uspokoić; przeciwnie: „na kieł wzięła“ — jak to mówią — gdy zobaczyła zdaleka nadpływającą krokiem kaczkowatym, jak kadź grubą i wiecznie zasapaną panią Kunegundę, istną plagę całej ludzkości, która ją zaraz na wstępie przywitała tym słodko-cierpkim frazesem:

— Jak to Lorciu kochana? Pozwalasz hrabiance P. tańczyć z jakimś profesorzyną i nawet iść z nim do kolacji? Rzecz ciekawa, doprawdy!

Jakim cudem pani Kunegunda potrafiła wśrubować się w najwyższe sfery towarzyskie, to zostanie na wieki jedną więcej tajemnicą, jedną z owych nici cieniutkich, dla oka profana nie widzialnych, któremi posługują się tak mistrzowsko kobiety intrygantki. Mąż wprawdzie był tam jakimś prezesem, oprócz w biurze jednak nikt o nim nigdy nie słyszał, tak był ukryty głęboko pod ciężkim i szerokim pantoflem imości... Koniec końców, pani Kunegunda (częściej prezesową nazywana) umiała wkręcić się wszędzie i stać się każdej damie z wielkiego świata nieodzownie potrzebną. Czego bo też ona nie załatwiała?! Kupowała, sprzedawała i mieniała bądź futra, szale i biżuterje, bądź nawet i suknie przechodzone, wyręczała damy dobroczynności, gdy im samym nie chciało się zbliska nędzy przypatrywać, bo (jak mówiła jedna z dam owych) *cela vous donne sur les nerfs!* trudniła się nawet przemycaniem wonnych liścików w danym razie, z czem najczęściej pierwsza się wygadała, zdradzając obiecaną solennie tajemnicę.

Wepchawszy się raz niemal przemocą w sfery, do których nie kwalifikowała się bynajmniej ani urodzeniem, a jeszcze bardziej brakiem zupełnym ogłady salonowej, pani Kunegunda, jak wszyscy Parwenjusze, zadzierała wyżej nosa, niż najczystszej krwi magnatki, popisywała się *á tout propos* wyznaniem wiary i zasad surowo arystokratycznych, i była pod tym względem nieubłaganą! Najmniejszą słabostkę i koncesję zrobioną ideom postępowym, prądowi liberalnemu, karciła bez litości swoim języczkiem obosiecznym.

Ofiarą jej złośliwości padała najczęściej biedna, najlepsza hrabina Laura. Nibyto z serca: „tę Lorcię nieoszacowaną!“ kochając, kłuła ją pani Kunegunda szpileczkami sarkazmu i ostrej krytyki, skoro tylko po temu sposobność się zdarzyła. Miękka i łagodna natura hrabiny była najczęściej bezbronną w obec tych gwałtownych napadów najlepszej przyjaciółki i teraz biedaczka zamiast odciąć się należycie babie nieznośnej i wściubskiej, milczała zawstydzona, poczuwając się w duchu do bardzo wielkiej winy!

W skutek tej surowej admonicji zaraz po kolacji bal opuściły, mimo wzroku błagającego ze strony Idy, która właśnie miała stanąć do mazura z panem Skólskim. Hrabina rzuciła okiem na spis tańców, a ujrzawszy tam owo nazwisko złowrogie, prześladujące ją niby jakaś zmora ciężka, drgnęła, schwyciła kurczowo dłoń Idy i pędem niemal zbiegła po schodach, jakby uciekała przed pogonią Bisurmanów!

Uszczęśliwiona zwycięztwem odniesionem, tuląc bezpiecznie kurczątko jej opiece powierzone, w karecie, zdala od szponów krogulczych profesora, hrabina z błogiem uczuciem spokoju, oparta o miękkie poduszki, do słodkiej drzemki oczy przymknęła. Nagle w pół drogi do domu skoczyła w górę, jakby kto minę pod nią podłożył, usłyszawszy te słowa z ust Idy, które jej się wyrwały mimowolnie wśród roskosznych marzeń pobalowych:

— Jaki to miły człowiek ten pan Skólski! Im częściej go się widzi, tem więcej zyskuje!

Hrabina wyprostowała się jak struna ruchem tak gwałtownym, iż o mało pióro strusie z głowy nie spadło i rzekła z wymówką:

— Jakże mnię przestraszyłaś dziecię kochane!

— Przestraszyła? — Ida śmiechem parsknęła.—Czyż istotnie tak złowrogiem wydaje się pani samo nazwisko: Skólski? Mój Boże! a mnie tak z nim było przyjemnie! Obok niesłychanej erudycji, jest taki wesół, swobodny, a tańczy jak...

Nie dokończyła. Mimo, iż mówiła biegle czterema językami, nie mogła znaleść na prędce porównania, określającego dosadnie stopień doskonałości swojego tancerza.

— Wierzę temu wszystkiemu! — hrabina ręką machnęła niecierpliwie. — To jednak nic nie zmienia i fakt faktem zostaje: że jest jakimś nieznanym nikomu szaraczkiem i nie ma prawa wciskać się w nasze sfery!

Widocznem było, iż zawód fatalny w przeszłym sezonie zimowym, wpłynął niekorzystnie na hrabiny usposobienie. Zgorżkniała, i nie była już tak łagodną i wybaczliwą. Zresztą — zapomnieliśmy o tem w charakterystyce hrabiny — miała i ona pewne słabostki i była trochę dumną na ród swój starożytny, tak z domu jak i po mężu. Mimo serca najlepszego, najlitościwszego, nie lubiła mięszaniny w towarzystwie, nie mogła pogodzić się z postępem i nie chciała uwierzyć, iż talent i nauka zdobyły sobie w czasach dzisiejszych prawo obywatelstwa w sferach najwyższych. Szczerze wyznajemy, iż w naszych oczach hrabina nic na tem nie straciła. Mamy słabość do ludzi ze słabostkami. Nadto wielka doskonałość, przygniata nas swoim ciężarem i grozą przejmuje. Z swojego wysokiego piedestalu, patrzy ona z politowaniem na zwykłych śmiertelników, nie wzruszona ich łzami, nie dzieląca z nimi niczego, ani smutku, ani radości. Dla wesołych ma jedynie uśmiech ironiczny, dla smutnych zimne słowo perswazji, które ranę każdą jeszcze bardziej zaostrza.

Hrabina, oddajmy hołd prawdzie, bardzo rzadko zdradzała się ze swojemi słabostkami. Że teraz była tak kwaśną i rozstrojoną, pochodziło z dwóch przyczyn: bała się odpowiedzialności, póki Ida jest pod jej opieką, aby chroń Boże mezaljansu nie popełniła i lękała się stracić partję tak świetną i tak pod każdym względem dla jej syna stosowną. Zważywszy troskę podwójną: matki rodzonej i matki przybranej, która serce jej uciskała, nie dziwimy się bynajmniej hrabiny Laury złemu humorowi i usposobieniu gniewliwemu, skoro usłyszała bodaj o nazwisku złowrogim profesora.

* * *

Dla odmiany towarzystwo Łyżwiarzy urządziło na lodzie bal maskowy. Najwyższa arystokracja, jak i sfery niższe, wzięły udział w tej zabawie. Śliskie parkiety salonów zamieniły się w jeszcze gładszą i bardziej niebezpieczną szybę lodu, noc była cicha, mróz nie wielki, księżyc w pełni szedł w zawody z swoim blaskiem łagodnym z światłem jaskrawem lamp i pochodni naftowych i z ogniami bengalskiemi, które od czasu do czasu oświetlały fantastycznie obraz cały barwami najrozmaitszemi. Mamy rodzone jak i pożyczane, siedziały nad brzegiem w futra otulone, wodząc wzrokiem niespokojnym po szerokiej lodu powierzchni, na której młode kurczątka gubiły się częstokroć jak w lesie i znikały zupełnie z przed oczu przerażonych opiekunek.

Nie brakło tu ma się rozumieć i hrabiny Laury, która patrzyła z lubością na czarowną postać Idy, w kontusiku jasno-szafirowym z puszkiem łabędzim i w tegoż koloru konfederatce, z kokieterją troszeczkę na bok przechylonej, jak zręcznie i zwinnie zakręcała koła, niby lotna jaskółka, tak śmiało, jakby w trzewiczkach atłasowych suwała się po salonowej posadzce. Serce jej rosło w błogiej nadziei, że nie długo przyciśnie to lube dziecię jako synowę do łona, gdy w tem:

— Boże miłosierny! — syknęła hrabina, zaledwie zdoławszy stłumić w sobie krzyk głośny. — Boże! znowu ten człowiek! — powtórzyła ciszej sama do siebie. — Po cośmy tu przyszły?!.... Zbliża się do niej!.. Z jakim uśmiechem roskosznym wita go!... Oho! już mu obie ręce podała... lecą jak wiatr, dalej i dalej!... Że też ten intruz we wszystkiem tak wprawny! Jak ślicznie, jak elegancko na lodzie wygląda!

W duchu ostro się skarciła hrabina, za tę pochwałę szaraczka mimowolną, do Boga modły zanosząc, żeby oszczędził jej przynajmniej widoku i języka obosiecznego pani Kunegundy!

Nieszczęście atoli (jak Francuzi utrzymują) nigdy nie przychodzi w pojedynkę. Jeszcze hrabiny drżące usta nie dokończyły afektów strzelistych do Boga i Matki jego, gdy tuż nad brzegiem wyrosła niby z pod ziemi kolosalna postać pani prezydentowej i jej czwórki dobranej córek, dotąd niestety w panieńskim stanie niepokalanych, z tej prostej przyczyny, że nikt się z panów nie pokusił, ubrać w czepek którąkolwiek z tych dziewic niewinnych. Pani Kunegunda ma się rozumieć zaczęła od książąt i hrabiów, wreszcie gdy pannom latek przybywało, byłaby już przyjęła obywatela z dobrą wioską bez długu. O tem atoli, żeby która z jej córek miała pójść zamąż inaczej, nawet przypuścić nie chciała! To też Fińcia, Mińcia, Lińcia i Tyńcia dotąd trzymały się mamy spodnicy, oczka skromnie spuszczały, odpowiadając najczęściej „tak“ lub „nie“ i stały wytrwale na latach szesnastu do dwudziestu dwóch. Złośliwi jednak utrzymywali, że najstarsza Fińcia skończyła latka jezusowe, a najmłodsza Tyńcia, ponieważ rok po roku się rodziły, ma co najmniej lat dwadzieścia ośm! Pomińmy jednak tę kwestję drażliwą i nie zdradzając panieńskich tajemnic, przypatrzmy się pani Kunegundzie, kroczącej z powagą majestatyczną prosto ku pani Laurze i tak dość udręczonej. Na perkatym nosie pani prezydentowej pojawiło się groźne *Pince-nez*, a oczka jej świdrowate skierowały się najprzód na parę dobraną Idy z panem Skólskim, którzy właśnie z dłuższej wycieczki wracali, następnie przeniosły się na hrabinę z najwyższem zdziwieniem i srogą, choć niemą wymówką. Najdoskonalszy atoli telefon, nie potrafiłby oddać wyraźniej myśli w tym wzroku zawartej: „Więc doprawdy

pozwalasz hrabiance P., na takie pospolitowanie się z jakimś tam profesorzyną?!"

Hrabinę dreszcz przeszedł od stóp aż do głowy!

— Już taki los mój nieszczęśliwy! — szepnęła z rezygnacją — że nigdy i nigdzie nie mogę ujść przed tą istną plagą egipską!

Niby gnana Furjami zebrała hrabina czemprędzej swoje manatki, oświadczywszy córeczce przybranej, iż skostniała od zimna, nagląc do powrotu w chwili, gdy pary stawały do kadryla, przy różowem świetle ognia bengalskiego.

Ida czoło zmarszczyła i spłonąwszy rumieńcem oburzenia, rzekła tonem ostrym, skoro znalazły się sam na sam w karecie:

— Nie spodziewałam się po twojem sercu pani, żeby potrafiło tak systematycznie komuś przykrość sprawiać! Na ostatnim balu, pod pozorem gorąca, pozbawiłaś mnie tych tańców, o które najwięcej mi chodziło; dziś z powodu zimna fikcyjnego, psujesz mi pani najmilszą i niezwykłą na lodzie zabawę! Pozwól pani, że ją zapytam, prosząc o szczerą odpowiedź, jaki przesąd uprzedza ciebie tak nieżyczliwie przeciw człowiekowi wykształconemu, eleganckiemu i wysoko przez ogół cenionemu?

— Przesąd drogi dziecię?! Chroń mnię Boże od czegoś tak potwornego! — zaprotestowała hrabina energicznie. Przesąd bowiem jest pasożytem wielce rozgałęzionym, wielce trudnym do wyniszczenia, nikt atoli przyznać się nie chce do niego i każdy zapiera się narowu podobnego jak najsolenniej! — Co do pana Skólskiego, znasz moje pod tym względem zasady nie wzruszone.

— Na miły Bóg! tylkoż mnię pani nie zbywaj zasadami i przekonaniami! Jest to konik ulubiony, na którym zwykli ci harcować, co nie chcą przyznać, iż popełnili niesłuszność i wydali sąd niesprawiedliwy! Powiedz mi raczej hrabino, jakie są: „grzechy żywota" pana Skólskiego, za które każesz nam obojgu tak ciężko pokutować?

— Cóż ci się znowu dziecię przyśniło?! Nie znam i znać nie potrzebuję *un monsieur Skólski!* nie mogę zatem regestrować ani wad jego, ani przymiotów drogocennych! O to cię tylko błagam gorąco: trzymaj śmiałka o ile możności zdaleka od siebie i miej zawsze na pogotowiu jedną z tych licznych a niewinnych wymówek, gdy ci się narzuca zuchwale z angażowaniem: „Jestem zmęczona.... taniec już przyrzekłam".... i tem podobnie. Wierzaj mojemu staremu doświadczeniu, iż ta nieszczęsna znajomość może cię tylko w naszem towarzystwie skompromitować, a pożytku najmniejszego z niej mieć nie będziesz!

Ida dumnie główkę podniosła.

— Pani daruje, ale nie jestem stworzoną do żadnych pęt narzuconych mi niesprawiedliwie. Stryj postarał się o to, żeby umysł mój był na tyle rozwiniętym i zasady ustalone, abym wiedziała gdzie mam szukać znajomych i przyjaciół. Potrafię wybierać zawsze ludzi zacnych, których nigdy i nigdzie nie zaprę się i którzy mi zaszczyt, a nie wstyd przynieść mogą. Do takich właśnie profesor Skólski należy. Jutro zaraz niestety, muszę być pani nieposłuszną, gdyż na balu dam dobroczynności mam tańczyć z panem Skólskim pierwszego mazura. Ponieważ pani jesteś jedną z Patrones i gospodyń balu, nie zechcesz może wyjść przed pierwszym mazurem? W razie przeciwnym najlepiej by się jutro na dzień cały w łóżko położyć i wcześnie chorą ogłosić. Posługiwać się jakiemikolwiek wymówkami nie chcę, gdyż od lat dziecięcych mam wstręt wrodzony do kłamstwa, choćby najniewinniejszego, myślę zresztą, iż pani nie możesz żądać odemnie na serjo, abym mówiła nieprawdę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

To imię wymówione tak niespodziewanie, pobudziło i lady Stève do śmiechu, na myśl, iż dziś Willjam dowie się o wszystkiem. Trochę z figlów, trochę z chęci podroczenia się z ukochanym, szepnęła zwrócona ku Willjamowi:

— Hrabia o *L'Ombrze* wspomina... W sam czas, bo właśnie *L'Ombra* w Anglji przebywa.

— W Anglji?! Czy podobna?! Zkąd-że wiesz o tem milady? Czy da się słyszeć?

Słowa te wypowiedział gorączkowo, z takim niepokojem, iż mogły w sercu Erminji na nowo zazdrość obudzić.

— Tak jest milordzie, da się słyszeć... jeszcze dziś wieczór.

— Będzie spiewała dziś wieczór? Ale gdzie? gdzie? Czy w Londynie? Odpowiedz kuzynko, czy wiesz na pewno, że spiewa w Londynie? Fałszem więc było to, co ci o niej mówiono, że już więcej nie myśli wystąpić? Nie wiesz, czy jest stale zaangażowaną?

— Nie, nie, zaspiewa raz tylko... raz ostatni!

— *L'Ombra*! *L'Ombra*! w Anglji! — szeptał książe. — Ale cóż! jestem tu związany... chybaby ten deszcz ulewny przeszkodził...

— Związany?! — powtórzyła, dotknięta tem słowem do żywego.

Byłaby dalej mówiła, ale otoczyło ich całe towarzystwo, dzielące się na dwa obozy. Jedni wołali: „Jedźmy, to ulewa przechodząca! Za moment słońce w całym blasku zajaśnieje!" — drudzy perswadowali: „że trzebaby chyba mieć pod ręką przyrząd do pływania sławnego Boytona, aby narażać się na taki tusz z niebios spadający!" Gdy tak rozważali strony ujemne i dodatnie projektu przejażdżki, Erminja do okna odwrócona, z czołem o szybę opartem, dumała smętnie nad

popełnioną nierozwagą, i nad tem, że była może zbyt szorstką i na zbyt ciężką próbę Willjama wystawiała.

— Jakie twoje zdanie lady Stève? — zapytali ci. którzy chcieli bądź co bądź wyjeżdżać.

— Wszak z góry powiedziałam, że zostanę — odrzekła w nadziei, że nikt nie pójdzie za jej zdaniem.

Willjam szepnął ku niej nachylony:

— Mam twoje słowo kuzyneczko, lękam się jednak przypominać ci daną obietnicę, uwzględniając czas tak szkaradny!

— O! nie brak mi odwagi kuzynku!

Uśmiechnęła się słodko, rzucając mu spojrzenie pełne roskosznych obietnic.

— Dzięki ci najdroższa! dzięki! — i z czułością rękę jej ucałował.

Aby zyskać więcej swobody, książe zaczął namawiać towarzystwo do wycieczki projektowanej. Utrzymywał, iż ruiny mogą tylko zyskać na majestatyczności ponurej, odbite od tła szarego i chmurnego. Ujrzał atoli we wzroku hrabiego de Bocé taką zgrozę, że umilkł, i zaraz po śniadaniu wyniósł się do swojego apartamentu.

Mając teraz wolne pole, hrabia zaczął energicznie protestować przeciw podobnemu szaleństwu. Zwrócił się wreszcie do Erminji.

— Powiedz sama droga lady, czy nie byłoby to narażaniem zdrowia, życia niemal?! Czyż nie można projektu na jutro odłożyć?

Nie możliwem było utrzymywać co innego, w obec potoków z nieba lejących. Mimo więc, że tak by jej był ten wyjazd pożądanym, bąknęła półgłosem:

— Zapewne... możeby i lepiej wszystko do jutra odłożyć...

— Zgoda! — chórem zawołano. — Do jutra zatem! A teraz chodźmy muzykować.

— Ja idę do siebie — potrząsła Erminja głową, gdy hrabia chciał jej ramię podać. — Mam straszliwą migrenę, potrzebuję gwałtownie ciszy i spokoju.

Odeszła. Niedługo deszczem o szyby bijącym, dziwnie rozstrojone całe towarzystwo, poszło za jej przykładem. W salonie pusto się zrobiło. W chwilę później hrabia spotkał na schodach Willjama, a gdy ten spytał, co w końcu udecydowano, starzec bojąc się, aby raz jeszcze nie przeważyło szali rozsądku szalone zdanie gospodarza domu, i aby nie był zmuszony narażać swojej podagry na największe niebezpieczeństwo, wyjeżdżając w czas tak wilgotny, odrzucił niecierpliwie:

— Zostają, ma się rozumieć. Lady Stève, jak zawsze rozumna, wyperswadowała im przecie!... Kazała ci nawet oświadczyć, że wszystko do jutra się odkłada, a sama tak się czuje zmęczoną, że idzie się położyć.

— Czy istotnie powtarzasz hrabio jej własne słowa?

— Ależ najpewniej tak powiedziała!

— Prosząc, żebyś mnie powtórzył?

— Tak! tak! Cóż cię to tak dziwi?

— Gdzie jest moja kuzynka?

— Mówię ci przecie, że poszła się położyć! Ma początki migreny, potrzebuje ciszy i spokoju! Zresztą, czyżby jaka kobieta mogła bodaj koniec noska wyściubić w taki potop!

— Ah! ah! — zatarł ręce hrabia de Bocé, gdy się rozeszli. — Chwała Bogu, żem mu przecie to szaleństwo wyperswadował! Bylibyśmy wszyscy pomokli jak rude myszy!

Willjam przyjął tę zmianę z dość kwaśną miną, uwierzył jednak zapewnieniu hrabiego, iż Erminja dziś nie przyjdzie do pawilonu.

Erminja wróciwszy do siebie nie pojmowała, dla czego uczuła się tak boleśnie dotkniętą słowami Willjama. Byłoż to tak wielką zbrodnią z jego strony, iż pragnął raz jeszcze *L'Ombrę* usłyszeć, skoro ona w swojej złośliwości namawiała go niemal, aby udał się do Londynu? Zasługiwała istotnie za swój żart niewczesny, żeby ją ukarał i pojechał, biorąc figiel na serjo!

Otworzyła książkę, aby skrócić czas oczekiwania, litery jednak skakały przed jej oczyma jak złośliwe Chochliki, zawsze tylko w jedno imię się układając... Spróbowała napisać do Bariniego... Znowu to jedno imię, jak zaklęte, wsuwało się pod pióro... Spojrzała na zegar niecierpliwie... Czy iść przestał?! Skazówki dzisiaj, jakby stały wiecznie na jednem miejscu, tak się leniwie posuwają!... „Wszystko się kończy to, co się zaczyna!“ — mówi mądra przypowieść arabska — nadeszła wreszcie i godzina schadzki, tak żywo upragniona. Erminja wdziała płaszcz gumowy, kapuzą twarz zakryła, i wymknąwszy się cichutko bocznemi schodkami, podążyła do pawilonu, robiąc wielkie koło przez dziedziniec, gdzie mieściły się wozownie i stajnie, aby jej z okien salonu nikt nie mógł zobaczyć. Dzięki ulewie dziedziniec był pusty jak wymiótł, i Erminja niepostrzeżenie do lasku dotarła, na końcu którego był chiński pawilon. Tu jeszcze gorzej było, niż na miejscu otwartem. Woda płynęła potokami, drogę zalewając, z drzew szpilkowych spadały gęste krople, grożąc nawet kauczuku przemoczeniem, wicher raz po raz zdzierał z głowy kapuzę i włosy rozburzał. Erminja jednak niczem nie wstrzymana, biegła szybko naprzód, jakby wiedziała, że to jej piękności bynajmniej nie zaszkodzi. Ślicznie wyglądała, z włosem w nieładzie, z oczami promienistemi, z twarzyczką od wiatru i biegu szybkiego niezwykle zarumienioną. Była to roskoszna Najada, uśmiechająca się figlarnie. Stanęła wreszcie na progu pawilonu, drzwi pchnęła, i zmięszała się, widząc, że nie ma jeszcze nikogo.. Zawstydzona, że tak się pospieszyła, usiadła na ławce wilgotnej, aby odetchnąć i odpocząć. Tak się czuła zmęczoną biegiem, i tak jej serce biło gwałtownie, że tchu w pierś ściśniętą pochwycić nie mogła.

— Istny potop! — szepnęła, zdjąwszy płaszcz z siebie i z wody go otrzepując.

Chwilkę posiedziawszy wstała, włosy cokowiek przed źwierciadłem uporządkowała, a czując dreszcz w całem ciele, zaczęła chodzić wszerz i wzdłuż niewielkiego pa-

wilonu, słuch wytężając, czy kto nie nadchodzi... Odzywał się atoli tylko głuchy szum świerków, i deszcz bądź kroplami bił w okna, bądź też całemi strumieniami spływał po murze, tworząc około kiosku małe jeziorka. Wreszcie coraz ciemniej zaczęło się robić w pawilonie... spojrzała na zegarek... Boże! to już szósta, godzina objadowa, a jego niema i niema!... Przecież szepnął jej rano: „Nie zapomnij o pawilonie!“ — Cóż się to mogło wydarzyć?... a może jednak nie dowierzał, żeby zdobyła się na tyle odwagi i wyszła w czas tak okropny?!... Złamana, zbolała, wybuchnęła płaczem serdecznym. Tu biegła rączo jak sarna, niesiona na skrzydłach miłości i nadziei... teraz ani wiedziała zkąd siły weźmie, aby napowrót przebyć tę drogę straszliwą!... Jednak wracać trzeba było, za jaką bądź cenę!

Cieniem nocy zapadającej osłonięta, dostała się nazad o tyle szczęśliwie, że nikt w tej obmokłej postaci lady Stève się nie domyślił. Ale w jakim stanie znalazła się w swoim apartamencie! — Troskliwa niania ogień suty na kominku rozpaliła, mogła więc na prędce ogrzać zziębłe i przemokłe członki, rozpleść i osuszyć włosy, z których woda się sączyła. Przestraszonej Marjecie zamknęła usta pocałunkiem i wymówką, „że chciała się leczyć na ból głowy świeżem powietrzem“, zakazała przytem najsolenniej, żeby nikomu chroń Boże! o tem dzieciństwie nie wspominała. Z jej pomocą przebrała się w mgnieniu oka, i odważnie, choć ze śmiercią w duszy, zeszła na odgłos dzwonu do sali jadalnej.

Było jednak coś uderzającego w rysach jej bladych i zmęczonych, bo księżna przystąpiła natychmiast do najdroższej siostrzeniczki z pytaniem troskliwem, coby jej było takiego?... a hr. de Bocé wymówił jej czule, dla czego wstała w ogóle, czując się tak cierpiącą!... Wszyscy zresztą rozmawiali o rzeczach obojętnych, jakby się nic w zamku nadzwyczajnego nie przydarzyło. Powoli oprzytomniała, dziwiąc się tylko, że świat dalej się monotonnie obraca, i ani jedno kółko nie stanęło w wielkim zegarze, który się życiem nazywa, kiedy ona tak cierpi piekielnie! kiedy w jej sercu tak wszystko nagle zamarło! Oglądnęła się po sali.. Willjama dotąd nie było.

— Gdzież mój syn? — skinęła księżna na kamerdynera. — Dać mu znać, że z objadem czekamy.

— Jaśnie oświecona pani, jego lordowska miłość, raczył wyjechać do Londynu pociągiem popołudniowym...

— Do Londynu?! — chórem wszyscy krzyknęli.

— Kochany hrabio, może ty wiesz, po co Willjam tak nagle poleciał do Londynu? — księżna zaniepokojona zwróciła się z zapytaniem do starego, zaufanego przyjaciela.

— Nic nie wiem, na honor!... Wypadł mu zapewne jakiś interes nagły a niespodziewany — hrabia wahał się z odpowiedzią, nie patrząc w oczy ani matce ani Erminji. — Myślę jednak, iż nic nam nie zostaje, jak spożyć dary boże bez niego.

Nadludzkim woli wysiłkiem, wezwawszy na pomoc całą odwagę i poczucie godności kobiecej, Erminja stłumiła ból piersi rozrywający, potrafiła nawet rumieniec na twarz bladą wywołać i wytrwała dzielnie do końca wieczoru. — Cios był mimo to śmiertelnym, obelga jej wyrządzona brutalną, krwawą! tego rodzaju, iż o niej w życiu całem zapomnieć nie mogła!... Jeżeli nikt się w zamku prawdy nie domyślał, Erminja wiedziała doskonale, po co książe poleciał do Londynu.

Dopiero gdy się samą znalazła, pierwszy raz w życiu gniewem zawrzała. Biegała tam i nazad po pokoju, jak lwica rozjuszona, z zębami ściętemi kurczowo, z palcami rozpaczliwie we włosy wplecionemi. Przeklinała w duszy chwilę, kiedy poznała niegodziwca, który śmiał ją tak zranić do głębi! przysięgała na wszystkie świętości, że nigdy nie zapomni! nigdy mu zniewagi śmiertelnej nie przebaczy! Zrazu głuche łkania, aż nareszcie i łzy rzęsiste ulżyły jej trochę ciężaru, i ustało w niej okropne nerwów naprężenie, grożące istotnie ciężką chorobą. Jakże pogardzała w tej chwili nikczemnikiem, który łamał słowo dane haniebnie, aby gonić za cieniem ułudnym!

— Jeżelim zawiniła nierozwagą, i nie znając kodeksu światowego, wystąpiłam lekkomyślnie na deskach teatralnych — mówiła sobie w duchu — ten człowiek jest moją karą najwyższą! Dla niego kraj rodzinny opuściłam, dla niego skazałam na tęsknotę i samotność mojego poczciwego, jedynego już dziś przyjaciela, starca nad grobem! dla niego rozpoczęłam życie pełne kłamstw i udawania! jemu głos mój, dobro najwyższe przyniosłam w ofierze, tryumfy u nóg jego złożyłam, wyrzekłam się wszelkich hołdów, odtrąciłam partje najświetniejsze, lorda Arundel i tylu innych!... a on mi za to wszystko płaci poniżeniem!... on serce moje depce nogami!... on do rozpaczy mnie doprowadza!... Odjadę ztąd na zawsze, ale łez moich nie ujrzy ten nikczemnik!... potrafię ból ukryć, będę się śmiała ze śmiercią w duszy, potrafię zemścić się srogo, za krzywdę lady Stève wyrządzoną!

Nie była już ową dzieweczką naiwną i nieświadomą z pałacu Alpino, która przyjechała błagać z pokorą księżnę Whitefield o łaskawą pomoc i opiekę. Świat nauczył Erminję sztuki udawania, nauczył, jak używać rozumu i dowcipu, aby zwyciężyć przeciwnika, jak nawet, w danym razie, wywołać na blade lica sztuczną świeżość i zdrowia rumieniec. Zaraz nazajutrz, po tej okropnej nocy bezsennie spędzonej, weszła do salonu jak *Minerwa* z głowy *Jowisza*, uzbrojona doskonale w cały arsenał kobiety, silna i gotująca się do walki zaciętej.

XI.

Pierwszą osobą, która tego ranka przedstawiła się jej oczom, był lord Whitefield. Zbliżyła się do niego wesoła, mimo, iż miał minę wielce kwaśną i ponurą.

— Czyś zadowolony z przejażdżki kuzynku? — spytała drwiąco. — Nie?

I dodała, śmiechem wybuchając:

— Widzę, żeś na serjo rozgniewany moim żartem niewczesnym! Czy tak?

— Że był niewczesnym, to wielka prawda milady!

— Chciałam wystawić na próbę twój zapał rycerski kuzynku!... Byłam przekonaną, że twoja namiętność do muzyki pomoże mi do wygrania zakładu...

— Zakładu?!

— A tak! tak! założyłam się, że mimo potopu wczorajszego, wyprawię ciebie do Londynu... i wygrałam! W Anglji nabrałam namiętności do zakładów, i dzięki twojej... łatwowierności, wygrałam znaczną sumę.

— Widzisz mnie uszczęśliwionym milady, żem mógł się w czemkolwiek przyczynić do twojego rozweselenia — wtrącił książe od gniewu zaczerwieniony — radbym jednak poznać tego, który miał zaszczyt przegrać do ciebie stawkę Ośmielę się zauważyć, iż w tej grze, przeciw mnie wszystkie szanse były wymierzone.

— Niczego się nie dowiesz kochany kuzyneczku! Przysięgłam uroczyście, iż będę w tej sprawie jak grób milczącą!... Zniosę stoicznie, sama jedna, gromy i błyskawice twojego złego humoru... Istotnie, zobaczywszy, iż deszcz nie pada, ale całemi strumieniami z nieba leje, uczułam srogie wyrzuty sumienia, żem cię naraziła na katar nieuchronny!

— Twoja szczerość milady jest na prawdę budująca, a męstwo zasługuje na wszelkie uznanie! Nie można tego atoli powiedzieć o upornem milczeniu twojego partnera!

Książe mówił głosem podniesionym, szukając wzrokiem płomienistym współwinowajcy w figlu, który mu spłatano. Żaden jednak świadek tej sceny, nie mógł wziąć do siebie groźby wyzywającej, którą to spojrzenie i te słowa wyrażały. Erminja uśmiechała się dalej żartobliwie, drażniąc tem księcia do najwyższego stopnia!

— Jest w świecie przyjętem ogólnie — zaczął po chwili milczenia głosem drżącym — że damom przysłuża zawsze i wszędzie prawo bezkarności. Odbiegliśmy daleko od owych obyczajów średniowiecznych, kiedy okrutne bogdanki, rzucały na arenę pomiędzy drapieżników rękawiczkę ze słodkim uśmiechem, żądając od rycerza, noszącego ich barwy na piersiach, aby życie narażał dla ich dzikiego kaprysu. Dziś nastąpiła zupełna zmiana dekoracji wydrwić, ośmieszyć mężczyznę, wystarcza obecnie naszym pięknym lady... Dowcip złośliwy zastąpił dawną srogość pań średniowiecznych... Ta srogość przynajmniej miała w sobie pewną wielkość, pewną potęgę...

— W każdym razie groziła większem niebezpieczeństwem! — roześmiała się znowu lady Stève. — Przyznaję. żeśmy czasem nadużywały naszej władzy nad sercami panów świata, w tym atoli przypadku figiel był całkiem niewinnej natury. Żeś się kuzynku w deszcz przejechał, żem cię w pole wywiodła za pomocą twojej manji do muzyki i spiewu w ogóle, a w szczególności dzięki namiętnemu dla *L'Ombry* uwielbieniu, nie stało się przeto żadne tak wielkie nieszczęście, i możesz mi przebaczyć wspaniałomyślnie, przez wzgląd, żem się tym żarcikiem tak serdecznie ubawiła!

— Nadzwyczaj ci do twarzy ta wesołość milady — mruknął książe z niechęcią. — Żałuję wielce, iż podzielić jej nie mogę, i odchodzę, aby nie psuć ci humoru mojem ponurem usposobieniem.

Skłonił się nisko, wrąc gniewem wściekłym.

— Przynajmniej godność moją uratowałam i zemściłam się za obelgę wyrządzoną! — pomyślała w duchu lady Stève.

Dni następnych nie zmieniła w niczem taktyki. Była złośliwą, dumną, wyzywającą, i miała tę najwyższą satysfakcję, że książe chodził posępny jak chmura gradowa, że na nowo przemienił się w dzikiego człowieka (jak go żartobliwie hr. de Bocé tytułował) i dla gości swoich był prawie niegrzecznym.

— Czyście się państwo poróżnili? — spytał raz hr. de Bocé Erminji.

— Ależ nie, na pewno! — odpowiedziała lekceważąco.

Trzeba było jednak zakończyć tę tragi-komedję. Po tygodniu udawania, rola zimnej, drwiącej kokietki, znużyła śmiertelnie szlachetną duszę Erminji, i wstręt w niej samej obudziła. Pewnego ranka zapowiedziała księżnie, iż smutne i niepokojące wieści z Alpino odebrane, o chorobie jej mistrza i przyjaciela, starego Barini'ego, zmuszają ją do powrotu natychmiastowego. Dziś wieczór zatem wyjedzie.

Księżna protestowała przeciw temu najenergiczniej, mówiła o tęsknocie, którą po sobie zostawi, o swojem przywiązaniu do Erminji, iście macierzyńskiem, o pustce straszliwej po jej wyjeździe w zamku w Stevèville i tak dość ponurym, o wszystkiem, coby mogło wzruszyć i zatrzymać odjeżdżającą; widząc atoli, że jest nieubłaganą, wezwała syna, aby pomógł matce wygrać sprawę. Dowiedziawszy się o tak rychłym odjeździe Erminji, Willjam zbladł straszliwie, wyjąkał słów kilka o nadziei prędkiego powrotu, i gdyby nie drżenie febryczne głosu, które wzburzenie wewnętrzne zdradzało, w mowie jego nie byłoby nic więcej, nad grzeczność najpospolitszą gospodarza domu. Tego było za mało, aby zatrzymać Erminję.

— Przynajmniej przyrzeknij, że wrócisz do nas niebawem! — księżna powtarzała ze łzami, ściskając raz po raz Erminję. — Byłaś mojem słońcem! moją całą pociechą!... Boże! Boże! coby to wymyśleć, żebyś z nami została?!

— Możeby lady Stève dała się namówić do zostania — wtrącił Willjam sarkastycznie — gdyby ukazała jej się w perspektywie przyjemność wygrania nowego zakładu?

— Ten jeden wygrany wystarczy mi najzupełniej — odrzuciła Erminja tonem suchym, z dumą głowę podnosząc.

— Przyjedziesz do mnie do Alpino cIociu najdroższa! — przytuliła się słodko i pieszczotliwie do łona

księżny. — Postaram się o przyjęcie godne ciebie, godne tej gościnności, której w Anglji, a szczególniej w domu twoim, doświadczyłam. I ty kuzynku — zwróciła się do Willjama, stojącego nieruchomo w okna framudze — gdy cię znowu napadnie podróżomanja, może zabłądzisz do Alpino?... Chciej wierzyć, że będziesz tam zawsze gościem miłym i pożądanym.

Usta jej drżały nerwowo, gdy te słowa wymawiała, potrafiła jednak stłumić łzy rozrzewnienia. W tej chwili jedno czulsze odezwanie się Willjama, byłoby ją odwiodło od zamiaru powziętego... Pozostał jednak niemym, i tylko skłonił się w milczeniu.

Lady Stève nie czuła się dość silną, aby żegnać całe towarzystwo i narażać na pytania banalne: „A dlaczego?! a po co?! a na co?!"... kazała więc tylko poprosić hrabiego de Bocé. Przerażenie i smutek starca nieudany, przejęły serce jej do głębi.

— Cóż my tu poczniemy bez ciebie moja piękna, moja najdroższa lady?! — załamał ręce rozpaczliwie. — Jakiż samolub niegodziwy z tego Barini'ego! Nie mógł sobie po cichu zachorować! Trzebaż mi było na starość tej zgryzoty, przywiązywać się do ciebie całem sercem, skoro nam uciekasz...

— Znikam, ulatniam się, niby *L'Ombra* zwodnicza! — szepnęła Erminja, smętnie uśmiechnięta, wpadając w słowo hrabiemu.

Willjam brwi ściągnął i rzucił na nią żywo wzrokiem ponurym i badawczym. Ona jednak, chcąc skrócić ile możności naprężoną sytuację, zarzuciła raz jeszcze z miłością córki białe ramiona na szyję księżny, ucałowała namiętnie jej twarz i ręce, uścisnęła lekko dłoń Willjama, prosząc hr. de Bocé, żeby raczył do jej apartamentu ją odprowadzić.

— Bądź ze mną szczera droga lady! — błagał ją hrabia, skoro sami się znaleźli. — Cóż to zaszło między wami! Jakoś nie bardzo wierzę w nagłą chorobę tego starego poczciwiny?... Czytam na chmurnem czole Willjama zupełnie inną historję. Nie pozwoliłby inaczej z krwią tak zimną, z taką na pozór obojętnością, na twój odjazd!... W jego duszy ból walczy z gniewem... Czyżbyś go wysłuchać nie raczyła? bo wiem na pewno, że cię kocha... Przebacz staremu natrętne i niedyskretne pytania, może to tylko między wami chwilowe nieporozumienie, któreby się dało łatwo usunąć?... Zakochani bywają najczęściej tak niezgrabni!

— Nic nie zaszło między nami drogi przyjacielu, już raz ci to oświadczyłam... Sentymenta księcia, tyczące się mojej osoby, nie są mi znane zupełnie, to tylko wiem na pewno, że ja jego nie kocham!

— Ha! musiałem się pomylić widocznie... Oho! żebym tak był na jego miejscu i miał lat trzydzieści, leciałbym za tobą droga lady na koniec świata! póki bym wzajemności twojej nie uzyskał!... Ale młodzież dzisiejsza, te żółwie! to pożal się Boże!... Nie mogąc dalej, odprowadzę cię przynajmniej bóstwo moje aż do statku, jeżeli raczysz na to pozwolić!

— Najchętniej! Dziękuję ci nawet hrabio serdecznie za tę propozycję! Wyjeżdżamy ztąd o siódmej wieczorem. Będę najszczęśliwszą, jeżeli odwidzisz mnie w Alpino drogi przyjacielu. Tam potrafię ci okazać moje szczere przywiązanie.

Hrabia uciekł czemprędzej, aby ukryć łzy rzęsiste.

Willjam dnia tego siedział zamknięty w swoim pokoju. Odgadł i zbadał go stary, wierny przyjaciel. Kochał Włoszkę jasnowłosą, może nie z tą siłą namiętną, jaką wzbudziła była w jego sercu młodzieńczym, pod maską, swoim cudownym głosem i talentem, natchnęła go jednak uczuciem szczerem, serdecznem, które powoli w nim rosło, i w bujny kwiat miłości rozwinęło się wreszcie. I nie mogło być inaczej. Widział w niej tyle wdzięków, tyle wyższych przymiotów, serce mężczyzny przykuwających. Tak była łagodną, wykształconą, tak pełną prostoty i gracji niewymuszonej, tak mu się anielsko dobrą wydawała! Czyż mógł życzyć sobie lepszej życia całego towarzyszki?!

Jakiż uczuł ból w sercu, jakże się rozczarował okropnie, gdy ją ujrzał tak nielitościwie szyderską, taką zimną, okrutną niemal kokietką! Nie umiał sobie dotąd zdać sprawy, które uczucie w sercu jego przeważa: żal srogi, czy gniew i słuszne oburzenie?... to tylko wiedział, że jest bardzo, bardzo nieszczęśliwy!... Nie przypuszczał, żeby jego do Londynu wycieczka, taką zmianę w lady Stéve wywołała... Wszak sama go do niej namówiła? Sama kazała mu powiedzieć przez hrabiego, że wszystko do jutra odkłada!... Oskarżał ją o żart okrutny nie do przebaczenia, i to po owym wieczorze, kiedy sądził się być o szczytu marzeń o przyszłem z nią pożyciu najszczęśliwszem!... Tak, tak, niestety! Wciskał się pomiędzy nich zdradziecko cały długi szereg nieporozumień; od śniadej twarzy, głosu *L'Ombry* i szalonej zazdrości lady Stève, o ten własny cień fatalny, aż do gniewu Willjama i oskarżania się nawzajem najniesprawiedliwszego, wszystko było fałszem i nieporozumieniem, a wyjątek jedyny, jedyną prawdę stanowiła rozpacz, ból szczery i nieudany, który im obojgu serca rozrywał! W miarę jak myślał i zastanawiał się nad całym tej sprawy przebiegiem, książe jątrzył się i oburzał co raz więcej na młodą kobietę, która ośmieliła się zadrwić zuchwale z uczuć najszlachetniejszych człowieka honoru, człowieka postępującego z nią najszczerzej i najuczciwiej.

— Niech sobie jedzie i obym jej więcej nie zobaczył! — zawołał wreszcie z goryczą. — Ta, którą na prawdę ubóstwiam, to nie ona! to tamta, dziwna czarodziejka, o twarzy ciemnej, ale jakiej wyrazistej, z oczami jak lazur nieba włoskiego! Tamta umiała jedynie przemawiać mi do duszy boskiemi tonami, tamta opanowała mnie całego! Co za dziecińństwo, smucić się odjazdem tej zwodnicy, tej kokietki jasnowłosej!

(Dokończcnie nastąpi.)

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.